

Wiarołomna żona.

WSPÓŁCZESNY ROMANS KRYMINALNY.

14

(Ciąg dalszy).

— Ależ i hrabia Buchenau również mnie ostrzegał, opowiadał o swoim stosunku z tobą i o baletnicy, a hrabia Buchenau jest człowiekiem honoru i do kłamstwa nie zdolnym.

— Buchenau także kłamie, a czyni to przez zemstę, że na jego zabiegi odpowiedziałam, jak przystało uczciwej dziewczynie. Pokazałam mu drzwi.

— Honorowy człowiek za to nie mści się na kobiecie, ale ją tem bardziej szanuje!

To było ciosem najsilniejszym dla Klary. W tych słowach upatrywała wyrok na siebie, ocknienie się księcia, koniec jego miłosnego, a raczej lubieżnego szalu. Więc użyła jeszcze tej broni, którą zawsze pokonywała Ferdynanda i rozbudziwszy w sobie cały wulkan roznamiętniającej kokieteryi, buchnęła lawą tego wulkanu. Z ócz jej iskrzyły się błyskawice, pierś podnosiła się namiętnie, z szerokiego rękawa sukni dobyło się obnażone ramię, usta rozwarły się i wilżyły; silny, falisty oddech grał na nich rozkosznie.

— Ferdynandzie! — rzekła dźwięcznie, głosem ławym, uroczystym — Ferdynandzie! Patrz na mnie. Czy na mej twarzy, w mych oczach wyczytać możesz kłamstwo i obłudę? Jażbym ciebie oszukiwać miała? Wolałabym śmierć sobie zadać, niż przed tobą mieć tajemnicę. Patrz na mnie, czytaj w moich oczach, czytaj na mojej twarzy! Tam nie znajdziesz kłamstw nigdzie, tylko miłość, miłość i miłość dla ciebie, ty mój jedyny, najdroższy, najmiłszy, a jedyny w życiu, którego serce moje ukochało.

Ale Ferdynand nie słuchał dziś syreniego głosu. Klara zorientowała się prędko, że zwykła broń zawodzi. Odrzuciła kokieteryę. Klin wybić klinem, podejrzenie podejrzeniem. Więc nastroiła głos na ton poważny, żalobny.

— Ofiarą jestem zazdrości ludzkiej. Wurm, hrabianka, nawet Buchenau, nie mogą znieść tego, żeś mnie wyniosł do godności swej żony: nie mogą znieść swego upokorzenia. Radziły mnie zgubić, oderwać od ciebie, a potem uragać mi, zepchnąć mnie i deptać po mnie za to, żeś mnie miłością swoją ogarnął. O! przysięgałabym na to, że to oni zapłacili tego człowieka. Wkręcił się tu pod pozorem, że odwiedza siostrę, że chce mi się przedstawić. Potem, gdy przez wzgląd na Rózię, pozwoliłam mu wejść, zaczął się odgrażać, domagać zapłaty. Nie rozumiałam nic z tego, nie mogłam nawet zorientować się, co to wszystko znaczy, gdy właśnie wszedłeś. Dopiero, gdy zaczął tak beczelnie opowiadać kłamstwa, domyśliłam się, że przyszedł tu umyślnie, aby czychać na twoje przybycie i zrobić to, co zrobił. To pomyśl godny Wurma i hrabianki!

— I to być może! — szepnął książę. Nie ma nic tak szatańskiego, czegoby tych dwoje dokonać nie zdołało. Być może! A jednak?... Boże mój, jeżeli to prawda, co mi Buchenau mówił, jeżeli to prawda, co ten włóczęga powtarzał, jeżeli tylko w tem prawdy połowa, prawdy część mała, to — zamiast tej wielkiej miłości, którą cię ogarniam, miałbym dla ciebie również wielką pogardę, którą-bym cię zdeptał bardziej, niż cię miłością wyniosłem.

— Ferdynandzie! czyż jeszcze wątpisz?

— Nie wiem, nic nie wiem. Głowa mi pęka, dławi mnie każde słowo, serce szarpie się — nerwy się targają. Bądź zdrowa! Jeżeli w tem tylko cień prawdy, już mnie nigdy nie będziesz widziała.

— Ferdynandzie! czekaj! słuchaj!

Nie czekał już i nie słuchał tym razem, lecz wybiegł wzburzony, a ona biegła za nim ku drzwiom i padła u progu omdlała.

Uwolniony.

Nazajutrz, po bytności księżniczki Elzy w zakładzie dra Katzenbergera, już jakoś nad wieczorem, przybył tam wóz do transportowania obłąkanych, z dwoma posługaczami. Były to chłopcy sążniste, silne, o spojrzeniu rubasznem i ponurem.

Walter wpatrywał się w obraz, jak zwykle i malował na przemian — a Krystyn rozmawiał z nim po swojemu, uspakajał, rozweselał. Drzwi się rozwarły, wszedł dr. Katzenberger z owymi posługaczami.

— Mój Krystynie, rzekł doktor, musimy pożegnać naszego malarza. Otrzymałem rozkaz, aby go wydać tym dozorcóm.

Krystyn osłupiał. Był wprawdzie pewien, że

marszałek nie zostawi tu Waltera, ale się nie spodziewał, że go już tak prędko zabiorą. Ścisnęło mu się serce i z przerażeniem spoglądał to na Waltera, to na przybyłych.

— Mamy rozkaz zabrać chorego natychmiast, rzekł jeden z przybyłych. Czekać nie ma czego. To rzekłszy, zbliżył się do Waltera i ujął go silnie pod ramię. Walter wyrwał się, cofnął i spytał niespokojnie:

— Czego chcą ci ludzie?

— Pojedziesz z nami — rzekł rubasznie jeden z przybyłych.

— Nie pojadę z nikim.

— Ej, co mi tam takie gadanie. My cię nie pytamy o to, czy ty chcesz, czy nie chcesz. Musisz i tyle.

Zbliżyli się obaj i chcieli pochwycić Waltera, ale Krystyn zastąpił im drogę i rzekł stanowczo:

— Dajcie no spokój; pomalutka. Na co gwałtu. Trzeba mieć Boga w sercu. Delikatnie z nim.

— Ha! ha! — zaśmiali się obaj przybysze — to mi dopiero ceremoniant. My nie nauczeni takich ceregieli. Raz, dwa i po sprawie. Dalejże!

— Poczekajcie przecie, skoro was proszę — mówił Krystyn — toćże po koleżeńsku trzeba, jak swój dla swego. Cóż to znowu? No. Ja wam pomogę, po swojemu, bez gwałtu. A i dla was lepiej, że nie będziecie mieli kłopotu. Pocóż wam się wysilać!

— A, no to róbcież tak, żeby szedł.

Krystyn przystąpił do Waltera, ujął go łagodnie za ramię i przemówił z dobrocią:

— Paniczu, słuchajże paniczu. Jechać ci trzeba, to ci nie zaszkodzi. Nic ci złego nie będzie. Trzeba jechać po dobroci, bo tak lepiej. Jakbyś po dobroci nie chciał, toby wzięli gwałtem. A na co? po co?

— Dobrze, dobrze — szeptał Walter, ale z Krystynem. Pojadę z Krystynem, Krystyn ze mną.

Krystynowi wpadło na myśl, że jakby pojechał z Walterem, to możeby go jakim sposobem po drodze uwolnić zdołał. Zwrócił się więc do doktora i udając obojętność, rzekł:

— Jak pan doktor każe? możeby to i dobrze było, gdybym pojechał. Obeszłoby się bez gwałtów. Przecieżby to może i szkodziło nam, gdyby się rozniosło po świecie, że się tu z chorymi wyprawia gwałty. Nawet pan marszałek będzie kontent i podziękuje za to, jeżeli się wszystko zrobi po cichu.

— Zgadzam się na to — odpowiedział doktor.

— Ba, ale my nie możemy was zabrać ze sobą, chyba do połowy drogi. Jeżeli na to zgoda to dobrze. Pamiętajcie, że w pół drogi was wysadzimy, a dalej pojedziemy sami.

— Niech i tak będzie, byle stąd wyjechać spokojnie — odpowiedział Krystyn.

— Zgoda. Dalej w drogę.

Walter wyszedł z Krystynem. Wsiedli do ponurego wozu — i pojechali.

W trzy godziny potem, gdy już gęsty mrok zapadł, zatrzymali się we wsi przed gospodą, na popas.

Dwaj dozorczy, którzy z Walterem i Krystynem siedzieli we wozie, wysiedli, a trzeci dozorca, siedzący z furmanem na koźle, został na straży.

— No, Krystynie, wysiadajcie z nami. Dalej już nie pojedziecie — rzekł jeden z nich.

— A to czemu?

— Czemu? — bo taki nakaz.

— A cóż to komu może szkodzić, gdybym chorego odwiózł na miejsce?

— Gadanie! co może szkodzić? a cóż nam do tego, czy komu szkodzi, czy nie szkodzi. Kazano i tyle. Chodźcie. Ot, wolicie się dobrze pokrzepić, bo wam z powrotem daleko.

Krystyn poszedł z nimi do gospody, niespokojny o Waltera. Wciąż myślał, jakby to z popasu skorzystał i uwolnić biedaka. Gdy się za stołem rozsiadł, zaczął przypijać do owych dozorców, a gdy się rozgadali na dobre i jakoś życzliwiej już na niego spoglądali, ozwał się, niby od niechcenia:

— Skoro już tak uczciwie gadacie, to wam coś powiem, ale miarkujcie, co byście mnie nie zdradzili.

— Cóż takiego? — zapytali obaj naraz i przysunęli się do Krystyna.

— Mnie was żal.

— Żal? ejże, czegóż? Co wam się przyśniło?

— Nie przyśniło, nie, ale prawda. Mnie was bardzo żal.

— Gadajcież!

— Widzicie, ten malarz ściagnie na was nie-szczęście.

— Ale! ej, gadanie!

— Nie gadanie, nie. Żebyście wy tylko wie-

dzieli, kto za nim stoi, kto się nim opiekuje! Jak się dowiedzą, że go zabrano od doktora przemocą, powstanie gwałt wielki i wielcy panowie ujmą się, a będą się mścili na wszystkich.

— A niechby! to cóż nam? My robimy, co nam kazano.

— Ba! a nie wiecie to, że na biednym i małym wszystko się skrupi. Żeby też nie skrupiło się na was.

— Dobrze macie serce, że się tak o nas lękacie, ale my się nie lękamy niczego.

— A nie lepiej to, żebyście co zarobili na tem?

— Ejże! my tam nie tacy. Ani się nie boimy, ani też szacherki nie chcemy. Jak służba, to służba.

Daremnie wysilał się Krystyn i z różnych beczek zaczynał; dozorczy byli nie ugięci. Już tracił nadzieję, już smutnie głowę zwiesił. Że był człek uczciwy, a więc i nabożny, to już opiece boskiej jeno polecał biednego Waltera. Nagle rozległ się turkot powozu. Powóz zatrzymał się przed gospodą. Krystyn wyjrzał przez okno i poznał pannę Warburg. Domyślił się, że przyjechała dla uwolnienia Waltera, więc ogarnęła go obawa, żeby się nie zdradziła przez jakąś nieostrożność.

— Jakaś wielka pani! — rzekł do towarzyszy. Dowiem się dokąd jedzie. Możeby mnie z sobą zabrała. We wsi koni nie dostanę, a piechotą iść nie bardzo przyjemnie.

To rzekłszy wyszedł z izby i zbliżając się do Gertrudy, dawał jej znaki, żeby się nie odzywała. Gdy stanął przy powozie, szepnął jej, żeby sobie kazała dać osobną izbę i przysłała po niego, jako po tego, co ją prosił o podwiezienie. Potem ukłoniwszy się nisko, wrócił do towarzyszy.

— No i cóż ta wielka pani? he?

— Ha, powiedziała ni tak, ni owak. Kazała mi czekać, aż się namyśli i rozpyta o mnie gospodarza.

— Jużćie; jakżeby nieznanego człeka brać miała. A no trąćmy się jeszcze. Niech wam nie będzie markotno, że was dalej wziąć nie możemy. Daj boże zdrowie!

— Wy swoje, a ja swoje. Ja wam raz jeszcze mówię, że mi was żal.

— Niech tam. co tam! At trąćmy się.

Popijali. Za chwilę wszedł gospodarz i zawołał głośno:

— Ta pani chce widzieć tego, co ją prosił, by go wzięła z sobą. Idźcie który.

Krystyn wszedł nie bardzo się kwapiąc, jakby się nie wiele o to troszczył; towarzysze też nie podejrzrywali niczego. Gdy był już sam na sam z Gertrudą, opowiedział o wszystkim, jak się zabrał z dozorcami, myśląc, że po drodze nasunie się jaka sposobność uwolnienia Waltera, jak dozorców chciał przekupić, groźbami skłonić do puszczania chorego, jak się uparli i jak niczego dokonać z nimi nie można. Gertruda opowiedziała znowu, jak przybyła do zakładu Katzenbergera, by Waltera zabrać; jak się przeraziła, gdy jej powiedziano, że przed godziną go wywieziono. Na szczęście wskazano jej kierunek, w którym wóz z Walterem odjechał, więc pędziła wyciągniętym kłusem. Wybrała się do Katzenbergera sama, aby jaknajmniej zwrócić uwagi, a liczyła na to, że nie będzie potrzebowała niczyjej pomocy.

— Doktor Katzenberger byłby mi oddał Waltera, bo miałam dla niego umówione za to pieniądze, a spodziewałam się, że Krystyn pojedzie z nami. Jedna godzina! Mój Boże! co to znaczy godzina w życiu ludzkim? Teraz co czynić? Skoro nie chcą się dać przekupić, to możeby Waltera odbić? co?

— Ba! nie damy rady. Ich czterech tęgich chłopów, a nas ile? Stangret i ja. Nie damy rady. Ale robi się to inaczej.

Twarz Krystyna nabrała wyrazu jakiejś walki wewnętrznej. Coś się w nim kłóciło, czy układało. Zamiłkł, myślał, tarł czoło, potem zaczął szeptać, rozkładał rękoma, jakby chciał przekonywać nie tylko słowem, ale i giestem.

Gertruda słuchała go z zajęciem, potem z rozręwnieniem, aż ze łzami w oczach uściśkała jego rękę i rzekła.

— Zacny człowieku! Toż to przecie poświęcenie się ogromne.

— Ale, cóż tam. Nic mi nie robią, a panicz będzie wolny. A to dopiero wścieknie się marszałek, gdy się dowie! Niech się pani pomodli, aby się udało.

Gertruda jeszcze raz uściśnęła mu rękę.

Krystyn wrócił do szynkowni, ale już owych dozorców nie było. Za stołem siedział trzeci z furmanem, a tamci tymczasem pilnowali wozu. Krystyn wziął płaszcz i wyszedł. Ciemno już było